

Pismo Polskiej Prowincji Zakonu Posługujących Chorym

Kamilianie

Nr 14 (styczeń-marzec) 2012

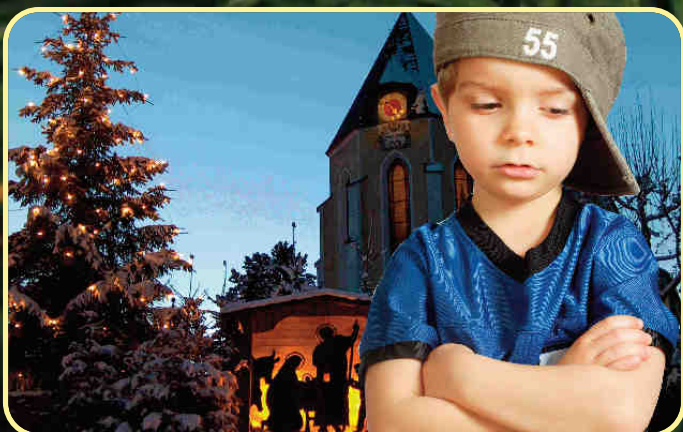


MIŁOŚĆ POD CHOINKĘ

*Opowieść o chłopcu,
którego nikt nie kochał*



W tym numerze:



Miłość pod choinkę.

Opowieść o chłopcu, którego nikt nie kochał - str. 4

Mama i tata patrzyli z nieba.

Bogusia Mazur wspomina dzieciństwo i święta bez rodziców - str. 10



Przybysze z Afryki. Sylwetki naszych współbraci z Madagaskaru - str. 12



15 lat niebiańskiej opieki. Relacja z obchodów zabrzańskiego jubileuszu - str. 13



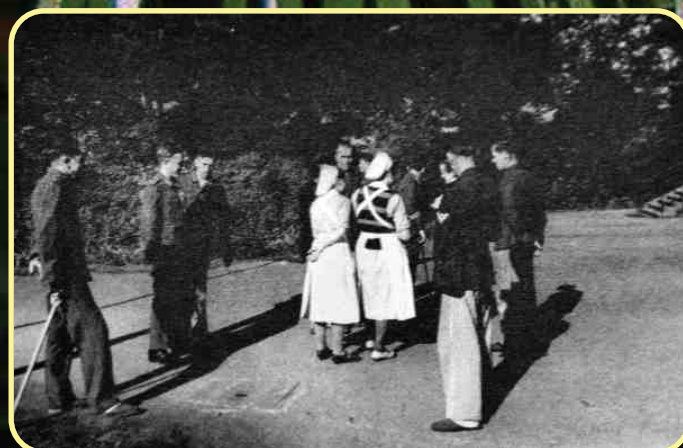
Życie jak pudełko czekoladek.

Małgorzata Foryt opowiada o swojej pracy w Gruzji - str. 14

Wolontariat w Gruzji - co? jak? i dlaczego? - str. 15



Ta przeklęta butelka! Rozmowa ze specjalistą terapii uzależnień - str. 16



Szpitalne perypetie. Zmienne koleje losu zakonnego szpitala - str. 20

Kalendarium zakonne.

Radosne i smutne rocznice - str. 22

*W doli i w niedoli,
w pracy
i w mileczeniu,
w dobrym zdrowiu
i chorobie,
we wszelkim
zdarzeniu
być tam,
gdzie Ty,
Jezu malusieńki,
być tam,
gdzie Ty,
pośród
Twojej stajenki.*

Pastorałka
polska



Drodzy Przyjaciele,

Dobiega końca czas radosnego oczekiwania i oto za chwilę będziemy mogli wraz z chórami aniołów wyśpiewać podniosłe „Chwała Bogu na wysokościach a na ziemi pokój ludziom dobrej woli”. Misterium Bożego Narodzenia, które każdy z nas przeżywa na swój wyjątkowy sposób, pozwoli nam wzniecić żar życzliwości i wzajemnej miłości. Święta stają się po raz kolejny szczególną okazją, by zacieśnić więzi międzyludzkie, okazać wdzięczność i dobrze sobie nawzajem życzyć.

Proszę więc przyjąć, Drodzy Przyjaciele, serdeczne życzenia, które składam w imieniu całej wspólnoty Ojców Kamilianów. Niechaj te Święta przyniosą Wam radość z tego co jest, nadzieję z tego co przed nami, optymizm, uśmiech i pogodę ducha na każdy dzień przyszłego roku. Życzę, aby nowonarodzony Chrystus był przewodnikiem na Waszych drogach, umacniał wiarę, ożywiał nadzieję i rozpaliał wzajemną miłość. Życzę również, aby w żadnej rodzinie nie brakło życzliwości i pokoju, a święty czas Bożego Narodzenia niechaj trwa przez wszystkie dni Nowego Roku. Niech Dziecię Jezus udzieli Wam i Waszym bliskim swego błogosławieństwa, a Święta Rodzina roztoczy nad Wami przemożną opiekę i napętni wszelkimi łaskami.

o. Arkadiusz Nowak



Opowieść o chłopcu, którego nikt nie kochał

Miłość pod choinkę

Był ponury listopadowy poranek. Zegar z kościelnej wieży wybił właśnie piątą, kiedy przechodzący nieopodal policjant zauważył ciemne zawiniątko leżące pod jednym z drzew. Będąc już dostatecznie blisko rozpoznał w nim postać skulonego dziecka, które spało głębokim snem. Przez dłuższą chwilę potrzasał wychudzonym i zabiedzonym chłopcem w nadziei, że uda mu się go obudzić. Wreszcie malec zerwał się z ziemi wydobywając z siebie przeraźliwy krzyk. Miotając się i szarpiąc, próbował uwol-

nić się z silnego uścisku stróża prawa. „Przecież nic ci się nie stanie” – zapewniał policjant – „Zatroszczymy się o ciebie. Tylko uspokój się! No uspokój się wreszcie...”

Łagodne słowa uspokoiły przestraszonego chłopca. Przestał się szamotać i dość niepewnie ścisnął silną dłoń mężczyzny.

- Pewnie jesteś głodny? – zapytał policjant.

- Tak. Bardzo – głos chłopca zabrzmiał spokojniej i nie wyczuwało się w nim już strachu.

- Ile masz lat, mały?

- Dziesięć.

- Skąd jesteś? Chłopak milczał.

- Kim są twoi rodzice?

Zamiast odpowiedzi znów głucha cisza. Przez jakiś czas szli razem w milczeniu. Wreszcie zatrzymali się przed wielkim budynkiem, który wysokością przewyższał pozostałe okoliczne domy. Policjant nacisnął na dzwonek u drzwi i weszli do środka. Powitała ich młoda siostra z białym czepkiem na głowie. Bez zbędnych słów wzięła chłopca za rękę i przechodząc schodami na górę, prowadziła go przez labirynt ciemnych korytarzy. Zatrzymała się w małym pokoju. Zapaliła światło i dopiero teraz mogła bacznie przyjrzeć się nowemu podopiecznemu.

„Dobry Boże!” – wykrztusiła, spoglądając z niedowierzaniem na wygląd dziecka.

„Usiądź tutaj” – powiedziała, podając chłopcu drewniany taboret.

Znajdowali się w niewielkiej łazience. Siostra włączyła piec gazowy i szybko zniknęła. Wróciła po kilku minutach z kubkiem mleka i kawałkiem chleba. Chłopak, który jak na swój wiek był dość niski i wąły, nie odrywał wzroku od sympatycznej siostry z zarumienioną twarzą. Co rusz przechodziła obok niego, przynosząc wszystko, co tylko możliwe i delikatnie się uśmiechając. Rozłożyła przed nim ogromny ręcznik i nim się spostrzegł, nie miał już na sobie brudnego, podartego ubrania i leżał w wannie z przyjemnie ciepłą wodą. Jego buzia szczerze się uśmiechała. Przecież jeszcze nigdy czegoś takiego nie przeżył. Siostra podeszła do niego ze szczotką i namydliła go od stóp do głów. Nagle bez słowa zostawiła go samego. Przeciągnął się i szukał jakiegoś podparcia pod głowę. Poczul się tak błogo, że najchętniej od razu by zasnął. Jednak właśnie w tej chwili delikatne dłonie siostry otuliły go miękkim ręcznikiem i dokładnie wytarły. Nadal nie potrafił wyjść z zachwyty, kiedy udawali się do innego pomieszczenia. Znalazł się w ciepłym łóżku. Poczul się otulony czystością białej pościeli. W oddali zobaczył jeszcze rumianą i uśmiechniętą twarz siostry i zasnął.

Obudził się dopiero około południa. Nad jego łóżkiem stała siostra Kati i siostra przełożona.

„Ma tylko skórę i kości” – usłyszał

słowa swojej opiekunki – „i prze-krwione siniaki jeden na drugim”.

– I co, podoba ci się w twoim łóżku? – zwróciła się do chłopca młodzieńca siostra.

– A jak ci na imię? Chłopak zastanawiał się przez dłuższą chwilę, po czym z szelmowską miną odparł:

– Nie wiem.

Kobiety roześmiały się.

Po południu chłopcem znów zajęła się siostra Kati. Siedział przy dziecięcym wózku, w którym grzecznie leżały obok siebie dwie istotki, jedna z blond, a druga z czarnymi włoskami.

– Czyje one są? – zapytał nowoprzybyły chłopiec, który wyglądał teraz na schludnego kawalera z roziskrzonymi oczami.

– Są niczyje – odpowiedziała siostra Kati – i dlatego zostaną teraz u nas w sierocińcu.

– Ja też jestem niczyj – ciągnął chłopiec – więc teraz też zostaną z tobą.

– Ale przecież przez ten cały czas musiałeś z kimś być –

pomyślała siostra – nie mogłeś chyba samotnie zmierzać przez świat.

Malec zamyślił się, spojrzał bojaźliwie wokół siebie i cichutko wyszeptał: „Byłem z wędrownym szlifierzem nożyczek”.

– Czy to twój tata? Chłopiec przecząco pokiwał głową.

– Mama sprzedała mnie za dziesięć Marek. Widziałem to na własne oczy. Siostra pogłaskała go po ciemnych włosach.

– Jak długo byłeś z tym rzemieślnikiem?

– Nie wiem, ale chyba długo. Musiałem przynosić mu nożyczki i często zamiast jedzenia dostawałem łanie. Aż w końcu udało mi się od niego uciec – mówiąc to uśmiechnął się z rozkoszą.

– Gdzie zatem jest twoja mama? – ciągnęła dalej siostra.

– Nie powiem – odparł malec – ona znowu odda mnie temu okropnemu włóczędze od nożyczek.

– A taty nie masz?

– Pewnie, że mam. I jeszcze dwie siostry, ale on mnie nienawidzi.

– Nie mów tak. Powiedz lepiej jak się nazy-

Pamiętam tamtą noc,
ten śnieg i wiatr.
Gdy nagle ktoś zapukał,
miał z pięć lat

Hej panie daj pan
jakiś grosz,
Bo nie ma z czego żyć.
Śpiewają ludzie
"Cichą noc",
A mama poszła pić.
Pan nie wie jak to jest.
Odwrócił się i znikł.

Za oknem pada śnieg,
jest mróz hula wiatr.
A w domu cicho ciepło,
inny świat.
Hej Panie
pobłogosław tym,
Co błądzą w taką noc.
Ty przecież wiesz,
że nie są źli,
Po prostu źle im szło.
Tak mało przecież chcą,
coś zjeść i ciepły ką.

J myślę w wigilijną noc,
Dlaczego jest mi wstyd,
Zaprosić tych co sami są,
Uśmiechem otrzeć łzy.
Sam nie wiem jak to jest.
Odwracam się,
tak mi wstyd.

"Bądź dobry tak jak chleb"
Słyszałem gdzieś
i co? J nic.

„Bądź Dobry”

- pastoralka zespołu Universe



wasz – poprosiła siostra.

- Nie wiem – usłyszała w odpowiedzi.

- W takim razie nazwę cię Niewiadomek.

Chłopak roześmiał się tak głośno, że leżące w wózku dzieci przstraszyły się i błagalnie wyciągnęły w stronę siostry swoje maleńkie rączki.

- Powiedz mi przynajmniej jak masz na imię?

- Franio – wyszeptał swoje imię tak ciuchotko, że prawie nie było go słychać.

Z nastaniem wieczora w dziecięcych pokojach dziwnym trafem brakowało wielu przedmiotów. Siostrze Kati zgubił się portfel, ze ściany zniknęła miotła, a ze stolika wazon. Wszystko odnalazło się w łóżku Frania, kiedy siostra chciała je posłać do spania. Tymczasem malec bawił się w ogrodzie z pozostałymi dziećmi. Kiedy wrócił, kieszenie jego spodni wyraźnie odstawały. Ku swojemu zdziwieniu siostra znalazła w nich jakąś czapkę, kilka chusteczek i kłębek wełny.

„To... i wszystko, co znalazłam w łóżku” – krzyknęła przerażona – „ty to, Franio, ukradłeś!”

„Bił mnie bez opamiętania, kiedy nie udało mi się niczego zwędzić” – wydukał w odpowiedzi malec.

„Nie wiesz, że nie można niczego kraść?”

Chłopak przytaknął, udając, że jest mu nad wyraz przykro.

- Franio – siostra przykucnęła i patrząc mu prosto w oczy mówiła dalej – powiedz mi, czy ty nigdy nie chodziłeś do szkoły?

- Nie.

- I niczego się nie uczyłeś, nawet czytać i pisać?

- Niczego z tych rzeczy – powtórzył – ale i tak wiele potrafię. Uważaj teraz. W jednej chwili chłopak stanął pośrodku izby i skłaniając się głęboko na wszystkie strony, rozpoczął przedstawienie. „Dostojni panowie i wielmożne panie” – z jego ust popłynęły jedna po drugiej barwne opowieści o sławnych bohaterach, wielkich złodziejach i okrutnych mordercach. Swoboda z jaką przemawiał była tak nadzwyczajna, a jego ruchy tak zabawne, że dzieci na sali zanosiły się od śmiechu. A mały komediant zachęcony reakcją rozbawionej publiczności bez większego trudu odgrywał kolejne zabawne historyjki.

Funkcjonariusz policji, który pewnego razu zjawił się przypadkiem na takim przedstawieniu, zauważył po akcencie, że malec musi pochodzić z Bawarii. Tymczasem wszystkie inne próby wyciągnięcia z niego jakichkolwiek informacji spełzały na niczym. Franio był bystry. Na stawiane mu pytania do znudzenia dawał taką samą odpowiedź: „Jestem niczyj i zostaję z siostrą Kati”.

Wraz z innymi dziećmi posłano go do szkoły. Siedział wśród sześciolatków i był najszcześliwszym uczniem, który kiedykolwiek zasiadał w szkolnej ławie. Nauka nie była dla niego przymusem tylko przyjemnością. Wszystko, co dla innych dzieci okazywało się zupełnie oczywiste, dla Frania było czymś cudownym i niepojętym. Nawet drugie śniadanie, które siostra Kati pakowała każdego ranka do jego tornistra.

Jego oczy błyszczały z zachwytu. Zdarzało się jednak nieraz, że w nocy nagle się budził i wybuchał rozpaczliwym płaczem. Wtedy Kati musiała trzymać go za rękę i tak długo zapewniać, że jest bezpiecznie daleko od ulicznego ostrzyciela nożyczek, aż się uspokoił. Zazwyczaj zasypiał wtedy od razu, ale bywało i tak, że uspokojony, rozpoczynał nocną pogawędkę:

„Bił mnie grubym rzemieniem, gdzie tylko popadnie. Niekiedy przez kilka dni nic nie widziałem, bo baty trafiały po oczach. Wtedy nazywał mnie kundlem i nie dawał niczego do jedzenia. Ale teraz nie chodzę już głodny. Teraz nikt nie robi mi krzywdy. A niedługo będę umiał pisać i liczyć. Siostrze Kati, super kiedy się tego nauczę, prawda?” Siostra Kati odsuwała się wtenczas od światła nocnej lampki, aby chłopak nie dostrzegł jej łez, które bezwiednie płynęły po jej policzkach. Nie to, żeby



była miękka. Ogrom nędzy, z jaką się spotykała zdążył ją dostatecznie uodpornić. Tylko wtedy, gdy nabierała zdrowego dystansu, mogła radośnie wykonywać swoją ciężką pracę. Dzieci garnęły się do niej jak do słońca, ponieważ jej oczy były zawsze uśmiechnięte. Gdyby płakała nad każdym z tych biednych maluchów, nikomu by to nie wyszło na dobre. Ale ten dzielny Franio, na którego ciele nie było wolnego miejsca na nowe blizny i siniaki, którego dzieciństwo przypominało okrutną drogę przez mękę poruszył ją do głębi. Kiedy teraz te duże, błyszczące oczy mówiły o jego szczęściu, kiedy wszystko wokół odbierał jako coś nadzwyczajnie pięknego i kiedy nawet bez słowa „dziękuję”, każdy jego oddech, każda isierka radości w jego spojrzeniu, zdawała się bez końca dziękować, przez siostrę Kati przechodziło nieopisane wzburzenie, skarga



na cały świat, który dopuścił do tego, że taka niewinna, mała istota musiała aż tyle wycierpieć.

Franio nie zawsze był grzeczny. Pewnego razu podszedł do dwójki dzieciaków siedzących w wózku spacerowym, złapał za ich głowy i tak mocno nimi o siebie uderzył, że rozpląkały się na cały głos. Siostra Kati dała mu wtedy klapsa. A Franio patrzył na nią cały rozpromieniony. Przywykł do innego bicia. To co poczuł pod dłonią Kati zdawało mu się pieścizotliwym pogłaskaniem.

Kati śmiała się wtenczas z niepowodzenia wymierzonej kary, przytulała go do siebie i mówiła:

- Poparz Franio, musisz być dla nich miły, bo to przecież takie biedne i słabiutkie dziewczynki.

- Nie martw się – odpowiadał – w przyszłości się z nimi ożenię.

- Z obiema? – śmiała się siostra.

- No pewnie. Inaczej jedna z nich zostałaby samotna – mówił całkiem poważnie.

Zbliżało się Boże Narodzenie i siostra Kati siedziała z dziećmi w wielkim pokoju. Były to biedne sieroty, które nigdy nie zaznały miłości swoich rodziców, a częstokroć zabierane były z domów, gdzie panowało pijaństwo i przemoc. Teraz wszystkie one tuliły się do siostry Kati, a ona mając przed sobą stos dziecięcych ubrań do cerowania, opowiadała im o dzieciątku Jezus:

„Świat był mroczny i smutny. Tak bardzo ciemny i zimny, że nikt z ludzi nie był radosny. Wszędzie panował nieznośny i przenikliwy ziąb. Aż kochany Pan Bóg zlitował się nad światem i posłał dzieciąteczko Jezus. Przyszło ono na świat wysoko z nieba i zapaliło drzewko tysiącami wesołych światełek. Na zimnej ziemi zrobiło się ciepło, jasno i radośnie. A wszystkie dzieci mogły się cieszyć i śpiewały piękne pieśni, i nikt więcej nie chodził już smutny”.

Opowiadała te i wiele innych historii, aby przypomnieć dzieciom, że mają być grzeczne i posłuszne. Wspomniała także, że nikt podczas świąt nie może stanąć przed żłóbkiem z pustymi rękami. „Zjadłam całą zupę!” – musicie szczerze powiedzieć Panu Jezusowi, ciągnęła Kati – „Nie ubrudziłam mojego fartuszka!”, „Nie byłem żarłoczny przy stole.”

Takie rzeczy musicie przynieść dzieciątku, bo i trzech królowie, którzy szli za betlejemską gwiazdą przynieśli zbawicielowi wiele pięknych darów.

Dziewczynki siadały wokół pudła z perełkami i robiły łańcuch na choinkę. Franio zaś miał ciągly niedosyt opowieści o trzech mędrkach wędrujących ze Wschodu.

„Czy ta gwiazda betlejemka była bardzo duża?” – pytał – „Widziałem już wiele gwiazd. Czy ona była większa i jaśniejsza od innych? Czy to możliwe, że jeszcze kiedyś pojawi się na niebie? A może rozbłyśnie dziś w nocy? Obudzisz mnie jeśli się pokaże? Obiecuj, a ja już pójdę grzecznie spać”.

Siostra Kati obiecała go obudzić. Ale wtedy w sypialni powstał niebywały rumor. Nagle wszystkie dzieciaki zapragnęły zobaczyć nadprzyrodzony blask betlejemskiej gwiazdy. Jakże wielka była przedświąteczna tęsknota w dziecięcych pokojach sierocińca. Jednak żadne z dzieci nie było tak podekscytowane jak Franio. Dla niego jeszcze nigdy w życiu dzieciątko nie pachniało choinką. Wszystko było dla niego tak nowe, tak cudownie nowe. Jego maleńkie serduszek poczuło wielkie pragnienie, by sprawić siostrze Kati przyjemność i właśnie teraz podarować jej coś wyjątkowego.

„Wiesz co?” – zaczął trochę nieśmiało, wtulając się w jej ramiona – „teraz chcę ci powiedzieć, gdzie mieszka moja mama... W Monachium nieopodal wielkiej łąki. Widzisz. Teraz powiem ci wszystko. I to, że wygoniła mnie z domu, kiedy były święta i że marznąc na śniegu patrzyłem przez okna na migocące lampki na choinkach. Czy teraz sprawiłem ci radość?”

O nie. Siostra Kati nie czuła się ani trochę radośnie. Jakże często pytała go wcześniej, gdzie jest jego dom. Przy muszała go wręcz, że musi w końcu powiedzieć, gdzie mieszkają jego rodzice. Ona sama co rusz była wypytywana przez komisarza policji, czy malec w końcu się przyznał i czy już wie o nim coś więcej. A on zrobił to właśnie teraz, tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Jeśli o tym powie, to zabiorą go stąd i wyślą do matki, która w wigilijny wieczór wyrzuciła go na mróz. „Nie i jeszcze raz nie!” – krzyczały jej rozbite myśli. Kati nie zamierzała wyjawiać tej tajemnicy. Przynajmniej nie przed Bożym Narodzeniem.

Niech Franio choć raz nacieszy się świętami zanim zostanie odesłany w rodzinne strony. Postanowiła milczeć, stając się dla Frania jeszcze bardziej dobra i czuła niż dotychczas.

Wreszcie nadszedł wigilijny wieczór. Franio wraz z innymi dziećmi podszedł do wielkiego drzewka z bezlikiem światełek i gwiazdą połyskującą na wierzchołku.

„To ona, to ona, ta gwiazda!” – pokrzykiwał z zachwytu Franio, pokazując palcem na czubek choinki.

Był tak podekscytowany, że z trudem udało się go odciągnąć i posadzić za stołem. Dzieciaki wraz z siostrami głośno śpiewały kolędy. Wtórował im ochryply głos posuniętych w latach dobrodziejek, przybyłych na ten wieczór do sierocińca. Franio nie potrafił spokojnie usiedzieć na miejscu. Całe te śpiewy i przemowy trwały dla niego stanowczo za długo. Był pierwszym, który podbiegł do szopki i stanął przed dzieciątkiem. Nie czekając ani chwili dłużej zaczął wyjmować ze swoich kieszeni stertę przeróżnych rzeczy, kładąc je dumnie przed figurką małego Jezusa. Z zachwytem unosił wysoko w górę jakieś rękawiczki, przybrudzone chustki, pędzle i ołówki, wołając radośnie:

„To, i to i jeszcze to... Popatrz Jezu, wszystko daję Tobie w darze”.

Przeglądając się temu wszyscy na sali wybuchli gromkim śmiechem. Siostra Kati napomknęła tylko przeprasząco: „Franio mnie chyba trochę źle zrozumiał, ale ja mu to zaraz wytłumaczę”. Objęła go i spokojnie powiedziała:

„Franio. Panu Jezusowi nie można podarować czegoś, co się ukradło”.

„Ale ja niczego innego nie mam” – odpowiedział z grymasem niezadowolenia na twarzy.

Mijały kolejne dni, a siostra Kati nadal niczego nie powiedziała. Tak bardzo bolało ją serce na samą myśl, co mogło się wydarzyć. „Styczeń jest taki mroźny” – uspokajała samą siebie – „Jeszcze trochę odczekam”. Luty także był zimny. W końcu musiała jednak wyjawić odkrytą prawdę.

I tak pewnego poranka przed drzwiami sierocińca zjawił się żandarm. Kati w pośpiechu zawiązała na szyi swojego ulubieńca medalik, ucałowała go i podnosząc przeniosła przez próg. Cała

drżała zamykając za nim drzwi. Długo jeszcze słyszała jego przeraźliwy płacz, kiedy siłą zabierano go do domu. Kati zrozpaczona upadła na łóżko i zanosząc się od płaczu w kółko powtarzała: „Już nigdy więcej nie pokocham żadnego dziecka. Przysięgam.. już nigdy w życiu nie będę kochać!”

Ale do sierocińca przybywały nowe dzieci, a wraz z nimi nowe troski i zmartwienia. Kati nie miała czasu, by pielęgnować swój żal. Powierzone jej dzieci potrzebowały jej czułości i jej pogodnego oblicza. I tak wkrótce stała się taka jak przedtem. Nie zapominała wprawdzie o Franiu, ale uspokoiła się, a niebawem minęły te bolesne dni i tygodnie, kiedy codziennie myślała tylko o nim. Skoro tylko znów zbliżało się Boże Narodzenie, poczuła się jakoś dziwnie. Broniła się. Nie chciała tego. A mimo to Franio ciągle powracał w jej pamięci. Opanował ją niepokój i wciąż dręczyło pytanie: „Jak mu tam teraz jest?”

Małe dziewczynki znowu robiły perłowy łańcuch na choinkę, a siostra Kati jak co roku opowiadała stare, a jednak wciąż nowe historie o dzieciątku Jezus, które w mroczny i zimny świat wniosło światło i radość. W dziecięcym wózku leżały dwie nowe istotki, a te z poprzedniego roku raczkowały już żwawo po podłodze. Kati rozejrzała się po podopiecznych i wdychając cicho, uświadomiła sobie, że z żadnego tyle się nie uśmieła, co z Frania. „Jaka byłaby szkoda, gdyby ktoś zmarł w tym roku” – pomyślała pełna żalu.

Za oknem padał śnieg. Na ulicy panowała głucha cisza. Cała okolica przykryta była mięciutkim, białym puchem. „Czy tego roku znowu wyrzucą go za drzwi?” – z ciężko bijącym sercem pytała samą siebie.

Wtem w drzwiach pojawiła się jedna z opiekunek.

„Jakiś chłopiec pragnie zobaczyć się z siostrą Kati” – oznajmiła – „Ale jest tak brudny, że nie wpuściłam go do środka”.

Kati w jednej chwili była już przed domem. Nie musiała się długo namyślać, kim jest to drżące i zapłakane dziecko skulone pod murem. Podeszła

i mocno je przytuliła.

Godzinę później Franio leżał już w swoim starym, czystym łóżku, z jeszcze szerzej rozwartymi oczami i z tak wielkim apetytem, że nie sposób go było zaspokoić. Do jego łóżka garnęły się wszystkie dzieciaki, opiekunki a nawet sama siostra przełożona.

„Chyba udało mi się przybyć na czas” – rozpoczął Franio – „Cały czas myślałem tylko o tym, by zdążyć do Wigilii”. „A nie chcesz nam poopowiadać, jak ci tam było przez ten cały czas?” – zapytała siostra Kati.

„Pewnie, że chcę” – odpowiedział malec – „Kiedy dotarłem do Monachium, mama złapała moją rękę jak kłodę drzewa. Siostry też się nie ucieszyły z mojego powrotu. A ojciec powiedział na powitanie, że musi iść się napić do gospody. Potem mama zaciągnęła mnie do kuchni i kazała mi się nażreć. Ale jedzonko było całkiem dobre. A kiedy ojciec wrócił z szynku, zaczął okładać mamę pięściami, a ona wijąc się z bólu krzyczała, że to wszystko przeze mnie. Że to moja wina. Pewnego razu usłyszałem pukanie do drzwi. Mama wciągnęła mnie do pokoju, posadziła na krześle za stołem i kazała czekać. Zacząłem się bać. Poczuję tak wielki strach, jak wtedy, gdy sprzedała mnie temu rabusiowi od ostrzenia nożyczek. W mgnieniu oka wskoczyłem na stół i czmychnąłem przez okno. Słyszałem już tylko jak mama na mnie wrzeszczy, ale byłem już wtedy daleko; wolny i bezpieczny pośród ciemnej nocy”.

Zamilknął. Dzieci śmiały się do rozpuku, tyle wesołości było w jego głosie. I nawet nikt nie zauważył, że siostra Kati przeciera zamglone oczy.

- A kto dał ci pieniądze na drogę? – spytała siostra przełożona.

Franio spojrzał na nią dumnie i ciągnął dalej:

- Nikt nie dał mi ani grosza. Przebieierałem nogami i naprzód marsz! – jak mawiał szlifierz nożyczek.

Dzieciaki wiwatowały, a siostra Kati z niedowierzaniem zawołała:

- Na nogach z Monachium aż tutaj? Czy to możliwe?

- A nawet i przyjemne – wtrącił Franio – Szedłem wzdłuż torów kolejowych. Po drodze często dostawałem coś do zjedzenia. Czasem zupę, a jeden raz nawet pachnącego pączka. W nocy zakradałem się do stajni albo stodoły.

Tylko raz jeden wydawało mi się, że widzę szlifierza. Ze strachu wskoczyłem psu do budy. Ale on też był dla mnie dobry i nawet mnie polizał. Całą noc spałem razem z nim, a rano jego państwo dali mi kubek prawdziwej kawy.

- A co potem? Co potem? – krzyżały rozbawione dzieci.

- Potem fiknąłem koziołka i jeszcze jednego – przechwalał się Franio.

- Jak długo byłeś w drodze? – spytała zaciekawiona siostra przełożona.

- Nie wiem – odpowiedział wzruszając ramionami – Może w tym czasie minęły trzy albo cztery niedziele? No i podeszwy tego nie wytrzymały. Wtedy bardzo bolały mnie nogi. Niech to diabli! - pomyślałem.

Dziecięca publiczność zaczęła bić brawo z zachwytem. Widząc to Franio przybrał kuglarską minę i jeszcze dwukrotnie powtórzył: „A niech to wszyscy diabli!”

- A potem? – zapytała już nieco zniecierpliwiona siostra przełożona.

- Potem to jakaś pani dała mi inne buty. Ale i te się rozsypały. Kiedy nogi piekły mnie z bólu, myślałem sobie o gwiazdzie betlejemskiej, za którą podążali trzej królowie do dzieciątka Jezus. Wtedy mówiłem sobie, że skoro oni potrafili tak długo iść, to Franio też da radę.

Siostra Kati pogłaskała go po policzku i powiedziała wzruszona:

„Jakie to urocze, że tak dobrze zapamiętałeś wszystko, co opowiadałam o dzieciątku”.

Buzia Frania przybrała teraz nieco szelmowski wygląd i chłopak szepnął jej do ucha:

„Pragnę ci zdradzić, że ani jeden raz niczego nie ukradłem. A wiesz dlaczego? Żeby dzieciątko pozwoliło mi za to pozostać z tobą. Nie wierzysz?”

Wierzyła. Ale wiedziała też, że trzeba szybko działać. Jeszcze tej samej godziny nałożyła świeży czepek, ubrała zimowy płaszcz i jak rażona piorunem pobiegła w stronę miejscowego dworku. Hrabina zawsze wydawała jej się serdeczna i szczodra. Nie było tygodnia, żeby owa szlachetnie urodzona dama nie odwiedziła sierocińca. Kati przypominała sobie ich spotkanie po tym, jak odebrano jej Frania. Nie potrafiła wtedy ukryć swoich oczu czerwonych od płaczu. Musiała jej



wszystko szczerze wyznać i od tej pory zyskała jej jeszcze większą przychylność. Właśnie do niej biegła teraz Kati. Kiedy wracała promieniała ze szczęścia.

W tym samym czasie żandarm wraz z przełożoną wyprowadzali Frania z dziecięcej sali.

„Siostro! Siostro!” – krzyczał wniebogłosy malec spoglądając na wbiegającą Kati – „On chce mnie znowu stąd zabrać! Tak długo po to szedłem. A teraz kiedy jestem już tak blisko nie pozwolicie mi jej zobaczyć! Nie pozwolicie mi zobaczyć naszej betlejemskiej gwiazdy!”

Kati przykucnęła przy nim i wyszeptała mu do ucha:

„Nie bój się Franio. Już nikt więcej nie będzie cię mógł od nas zabrać. Mam w kieszeni wszystkie potrzebne dokumenty. To miał być dla ciebie gwiazdkowy prezent od dzieciątka. Franio zostanie naszym dzieckiem. Ale nie możesz wyzdradzić dzieciątku, że już o tym wiedziałeś”.

Na twarzy Frania pojawił się uśmiech. Potem odetchnął z ulgą, jakby spadł z niego ciężar całego życia.

„Nie wygadaj się przed żłóbką, że mi powiedziałaś” – zapewnił całkiem poważnie.

Uspokojony, prawie natychmiast zasnął. A Kati jeszcze długo wpatrywała się w jego dziecięcą twarz naznaczoną cierpieniem i tęsknotą za miłością. ■

Tłumaczył o. M. Szwajnoch

Chociaż Mateusz w swojej Ewangelii przybyszów ze Wschodu nazywa jedynie „magami”, to jednak już na początku trzeciego wieku pojawia się u Tertuliana wzmianka o magach, którzy przybyli do Betlejem i wschodnim zwyczajem uważani byli za królów.

Od tego momentu w tradycji chrześcijańskiej próbowano rozwikłać zagadkę „trzech króli”. Chrześcijan intrygował przede wszystkim wygląd owych niezwykle gości. W legendach Kacper przedstawiany bywał jako młodzieniec bez brody, Melchior jako siwobrody starzec, zaś Baltazar jako *vir fuscus*, co po łacinie znaczyło „ciemny” i z czasem przemieniło go w Murzyna.



Bogusia Mazur

Mama i tata patrzyli z nieba

Powrót do wspomnień z dzieciństwa zawsze wywołuje we mnie dużo emocji, a szczególnie jeśli chodzi o czas związany ze Świętami Bożego Narodzenia. Chociaż zawsze z utęsknieniem wyczekiwałam na Święta to...

Pierwsze święta bez mamy pamiętam przez wielką mgłę, choć byłam radosna na zewnątrz to w sercu małego dziecka, którym wówczas byłam, dokuczał mi niezrozumiały dla mnie smutek. Nie umiałam zaakceptować śmierci rodziców. Miałam 5 lat i wciąż

czekałam... aż wrócą. Dziękuję mojej śp. kochanej babci Kasi, że z takim zapalem zawsze dbała, aby w naszym małym, trzyosobowym ognisku domowym panował właściwy klimat świąteczny.

Za oknami dużo śniegu, a ja grudniowe popołudnia przed świętami spędzałam z dziećmi na sankach i zabawach w śnieżne bitwy. Kiedy jednak w oknie pojawiała się babcia oznaczało to, że czas wracać do domu. Każdego wieczoru musiałam przygotować się do porannych rorat, bo były one dla mnie bardzo ważne w adwencie. To był cudowny czas. Moja babcia wytłumaczyła mi, dlaczego warto wstać wcześniej rano, biec przez park po śniegu z lampionem w rękę, a potem przy zgaszonym świetle wyśpiewać z pamięci wszystkie zwrotki pieśni roratniej i wziąć udział w adwentowej Mszy. Zbierałam obrazki i z zapalem wklejałam je z moją siostrą do małego zeszytiku. I tak wyglądało oczekiwanie na każde kolejne święta.

W niektóre dni po zakończonych lekcjach stałam w kolejce po kawę i pomarańcze. Babcia dostała ze wsi szynkę, więc zaglądałam do lodówki z nadzieją na plasterek, ale to była szynka tylko na święta. Wieczorami przed snem lubiłam wskakiwać babci do łóżka i słuchać opowiadań o narodzeniu i życiu małego Jezusa, które babcia góralka nazywała „przypowiadkami o Jezusie”. Ile w nich było bogatych treści, które chłonełam jako mała dziewczynka i które już wtedy wprowadzały mnie w tajemnicę Misterium Wcielenia i Narodzenia Pana Jezusa.

Kiedy święta były coraz bliżej, każdego ranka chodziłam do pokoju babci i prosiłam, by można już rozstawić i przystroić choinkę. Babcia jednak nie pozwalała i mówiła: „najpierw skończą się roraty, potem spowiedź, by mieć czyste serce”, ale w końcu i tak uległa. Zdarzało się, że na tydzień przed świętami stała już przystrojona choinka. Kiedy nie było nikogo w domu, uczyłam się na cymbałkach grać kolędy, by potem przy wigilijnej kolacji zrobić babci niespodziankę i zagrać.

A kiedy nadszedł wyczekiwany dzień Wigilii, babcia o poranku kazała mi wyjść z łazienki. Wiedziałam co się stanie, załoniłam uszy i czekałam

chwilę. A gdy było po wszystkim, mój przyjaciel karp, leżał w przyprawach na stole i czekał na smażenie. Potem poszłam do kościoła na Mszę Św. z nadzieją, że dostanę nagrodę za pełny udział w roratach i wszystkie obrazki, a gdy wróciłam do domu pachniała już kapusta, babcia robiła makówki.

Chowałam się pod stołem w dużym pokoju, by przygotować prezenty dla kochanej babci i mojej siostry. Wycinałam z papieru kwiatki i różne ozdoby, a potem zawijałam je w szary gruby papier wraz z pomarańczą i miałam prezenty. Babcia pilnowała postu, więc na obiad była zupa mleczna. Następnie wraz z siostrą nakrywałyśmy do wigilijnego stołu. Robiłam to bardzo dokładnie oczekując na przyjście gościa, czyli Pana Jezusa. Myślałam też o nakryciach dla rodziców i było mi smutno.

Robiło się szaro na dworze, byłam już ubrana odświętnie w białą bluzeczkę i spodnie, wiedziałam na kogo tak bardzo czeka moje serce i kto jest najważniejszy tego wieczoru – wiedziałam, bo babcia mi powiedziała. Wyczekiwałam w oknie pierwszej gwiazdki na niebie, by w końcu krzyknąć – już jest! Kolację wigilijną rozpoczynałyśmy modlitwą i czytaniem Ewangelii o narodzeniu Pana Jezusa. Nie lubiłam tego momentu, bo babcia w modlitwie wspominała o zmarłych, a zwłaszcza o mamie i tacie i bardzo płakała. Sprawiało mi to wielki smutek, a przecież miał to być radosny wieczór, chciałam się cieszyć, a w zamian oglądałam zapłakaną babcię. Było mi wtedy bardzo ciężko. Po modlitwie babcia brała do rąk bułkę i dzieliła ją "na cztery strony świata" i mówiła nam: „Pan Bóg jest wszędzie we wszystkich częściach świata”, a potem każdy kawałek maczała w miodzie, sypała solą, wkładała ząbek czosnku i dawała nam do zjedzenia, aby chroniło nas to od zepsucia duszy i wszelkiej choroby. To była chyba jakaś góralska tradycja. Dopiero po tym momencie dzieliłyśmy się opłatkiem i babcia znowu płakała, mówiła do mnie: „Wyrośnij na dobrego człowieka, bo bez mamy i taty będzie trudno na tym świecie”. Następnie jadłyśmy świąteczne potrawy – nie było ich zawsze 12. Zazwyczaj tylko ziemniaki, kapusta z grochem i smażony karp, ale ja nie mogłam go zjeść. Oprócz tego na stole znajdowały się wspomniane makówki

i ciasto, jak co roku ze znajomej cukierni, do tego czerwona oranżada i czekolada deserowa.

Po kolacji grałam wyuczone na cymbałkach kolędy, a babcia śpiewała i znowu płakała. Na szafkę obok odkładałam puste talerze, które układałam dla mamy i taty. A kiedy nastała chwila, gdy można było podejść pod choinkę i wziąć prezent, jak co roku w paczce były pomarańcze, czekolada, długopis a czasem skarpetki i papcie. Z wszystkiego zawsze bardzo się cieszyłam. Moja babcia wychodziła po kolacji na modlitwy do swojego pokoju i jakoś nie lubiłam tego momentu, bo robiło się cicho i smutno. Wychodziłam z domu, bo mieliśmy też taką tradycję na klatce schodowej, że po kolacji wigilijnej dzieci spotykały się i pokazywały prezenty spod choinki. Pomimo tego, że cieszyłam się z prezentów, to był to dla mnie trudny moment, bo myślałam, że nie miałam się czym pochwalić. Czasem płakałam, ale tak żeby nikt tego nie widział,

a już na pewno nie babcia. W oczekiwaniu na pasterkę oglądałam z siostrą świąteczne programy w telewizji i pytałam po kilka razy babcię, czy obudzi mnie na Pasterkę, jeśli mocno zasnę? ■



*Dla kogo jest
to puste miejsce?
Na kogo czeka
to nakrycie?
Czy chcemy z kimś
podzielić
szczęście? Czy
ktoś z ciemności
do nas przyjdzie?
A może ktoś
nadchodzi
w zmroku, by na
wigilię zdążyć
z nami. Słuchamy
niepokojnie
kroków;
we własne serca
zaglądamy.*

Fragment
pastorałki:

**„Dla kogo jest
to puste
miejsce”**



kl. Kamil Mróz

Przybysze z Afryki

Z końcem października do Polski przybyła trójka malgaskich współbraci z Madagaskaru. Przez najbliższe trzy miesiące będą oni przebywać w domu kleryckim w Burakowie, ucząc się intensywnie języka polskiego. Po ukończeniu kursu zostaną skierowani do trzech różnych zakonnych wspólnot, by samodzielnie doskonalić język i poznawać specyfikę zakonnej posługi w odmiennych dla nich warunkach kulturowych. Poznajmy ich nieco bliżej.

Brudo Rakotozafy

Urodził się 16 kwietnia 1986 roku w miejscowości Fianarantsoa. Jego ojciec jest żołnierzem, matka pracuje w sklepie. Ma dwóch braci i cztery siostry.

Jak sam mówi, do roku 2007 ani razu nie słyszał o kamilianach, dlatego też, kiedy rozpoznał w sobie powołanie do kapłaństwa, z początku pomyślał o wstąpieniu do seminarium diecezjal-

nego. O tym, że istnieje Zakon Posługujących Chorym dowiedział się od swojego brata. Zaintrygowany charakterem pełnionej w tym Instytucie posługi, odwiedził naszą wspólnotę we Fianarantsoa, co z kolei zaowocowało rozpoczęciem w październiku 2007 roku sześciomiesięcznego okresu przygotowawczego do podjęcia życia zakonnego. W tym czasie nie mieszkał jeszcze razem ze wspólnotą. Dołączył do niej po zakończeniu tego etapu,

rozpoczynając jednocześnie czas postulatu.

Przyznaje, że jest w zakonie krótko, ale poznając postać św. Kamila (m.in. poprzez lekturę książki na temat jego duchowości) już teraz uzmysławia sobie piękno charyzmatu miłosierdzia. Piękno to wynika z jego ukierunkowania na chorego, w którym można dożyć cierpiącego Chrystusa.

Na chwilę obecną Brudo ukończył studia filozoficzne w seminarium i przygotowuje się do rozpoczęcia nowicjatu. Uważa, że bycie kamilianinem nie jest łatwe, ale możliwe dla tego, kto wierzy.

Jean Marcel Randrianandrasana

Urodził się 10 lipca 1988 roku we Fianarantsoa. Jego ojciec jest stolarzem, matka pracuje w sklepie. Jest najstarszy ze swojego rodzeństwa – ma brata i dwie siostry.

Jak wynika z jego opowieści, już od dzieciństwa czuł w swoim sercu wzmożone pragnienie modlitwy i dość szybko rozpoznał w sobie powołanie do stanu duchownego.

Początkowo chciał wstąpić do Oblatów Maryi Niepokalanej, ale na wysłane w tej sprawie zapytanie nie otrzymał odpowiedzi. Jakiś czas potem odwiedził kaplicę prowadzoną przez nasz zakon. Wizyta ta poskutkowała wstąpieniem do zespołu „Kamilton”. Jako że rozpoznał w sobie powołanie do bycia kamilianinem, poprosił o przyjęcie do naszego zakonu i tym razem doczekał się pozytywnej odpowiedzi. Po zdaniu w 2009 roku matury został przyjęty do naszej zakonnej wspólnoty seminarijnej. Przed przyjazdem do Polski zdążył ukończyć I rok filozofii.

Przyznaje, że przed wstąpieniem do naszego zakonu nie miał kontaktu z ludźmi ciężko czy przewlekłe chorymi. Dlatego tym cenniejsza była dlań możliwość takiego spotkania, która otworzyła się w momencie rozpoczęcia postulatu. Korzystając z niej, dostrzegł fakt osamotnienia wielu chorych w tym trudnym doświadczeniu, co obudziło w nim współczucie dla nich.

Wobec faktu, że na Madagaskarze jest wielu chorych i potrzebujących pomocy, jest bardzo zafascynowany postacią i dziełem św. Kamila, który przecież nie ustawał w niesieniu ulgi cierpiącym członkom Ciała Chrystusa.

Christian Andrianarisoa

Urodził się 28 stycznia 1981 roku, we Fianarantsoa. Jego ojciec jest inżynierem budowlanym, a matka nauczycielką. Ma starszego brata i dwie młodsze siostry, z których jedna wstąpiła do sióstr misjonarek św. Wincen-tego à Paulo.

Przed wstąpieniem do zakonu należał do rekrutującej się z członków jego rodziny grupy ewangelizującej poprzez śpiew. Myśl o wstąpieniu do zakonu zakiełkowała w nim, kiedy miał około 17 lat, ale zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Z Kamilianami spotkał się pierwszy raz podczas ślubu swojego przyjaciela, na którym małżonków błogosławił jeden z naszych współbraci. Drugą okazję po temu miał podczas swojego pobytu w szpitalu (krótko po maturze). Zagadnął wtedy posługującego tam naszego ojca o jakąś książkę do czytania. Otrzymał od niego biografię św. Kamila. Wczytując się w nią, zafascynował się św. Kamilem (a dokładniej jego sposobem podejścia i pracy z chorymi) i zapragnął go naśladować. Dlatego jakiś czas po wyjściu ze szpitala poprosił o przyjęcie do naszego zakonu. I tak w wieku 21 lat rozpoczął drogę formacji w naszym zakonie.

Warto dodać, że kontakt z chorymi miał jeszcze przed wstąpieniem do zakonu, ponieważ jego grupa ewangelizacyjna wspierała lokalny ośrodek dla osób z upośledzeniem umysłowym i fizycznym. Jego wkład w to dzieło polegał na uczeniu niepełnosprawnych przykutych do wózka inwalidzkiego gry w koszykówkę, czy też tańca. Ponadto pomagał w terapii osób z połączonym zanikiem słuchu, wzroku i mózgu.

Na chwilę obecną kl. Christian skończył trzeci rok teologii i powoli przygotowuje się do złożenia profesji wieczystej. ■

15 lat niebiańskiej opieki

W tym roku przypada 15. rocznica ustanowienia św. Kamila patronem miasta Zabrze. W związku z tym w naszej parafii św. Kamila w Zabrzu w dniach od 2 do 19 października trwały obchody upamiętniające to wydarzenie. Na uroczystość ojciec proboszcz Wojciech Węgliński sprowadził z Włoch, z rodzinnego miasta św. Kamila - Buccianico, wino i olej św. Kamila. Wino to związane jest z cudem przemiany wody w wino, jakiego święty dokonał dla pielgrzymów idących do Loreto Aprutino. Natomiast olej św. Kamil wykorzystywał w celach leczniczych, smarując chorym nogi, ręce i skronie. Według tradycji pochodzącej od mieszkańców Buccianico spożywanie wina i oleju z wiarą oraz wezwanie opieki świętego przynosiło ulgę w chorobie i cierpieniu oraz umocnienie duszy i ciała człowieka.

Na terenie miasta umieszczone zostały także wielkie bilbory przedstawiające św. Kamila, które miały przypominać zarówno mieszkańcom miasta jak i gościom, kto jest ich patronem i kto nad nimi czuwa.

Z tej okazji zorganizowany został także konkurs plastyczny dla dzieci i młodzieży zabrzańskich szkół na temat „Święty Kamil patronem miasta Zabrze”. Do naszej parafii wpłynęło prawie 300 prac. Ich oceną zajęło się specjalne

jury, w skład którego weszli m.in. profesorowie sztuki, a wśród nich profesor Kazimierz Frączak.

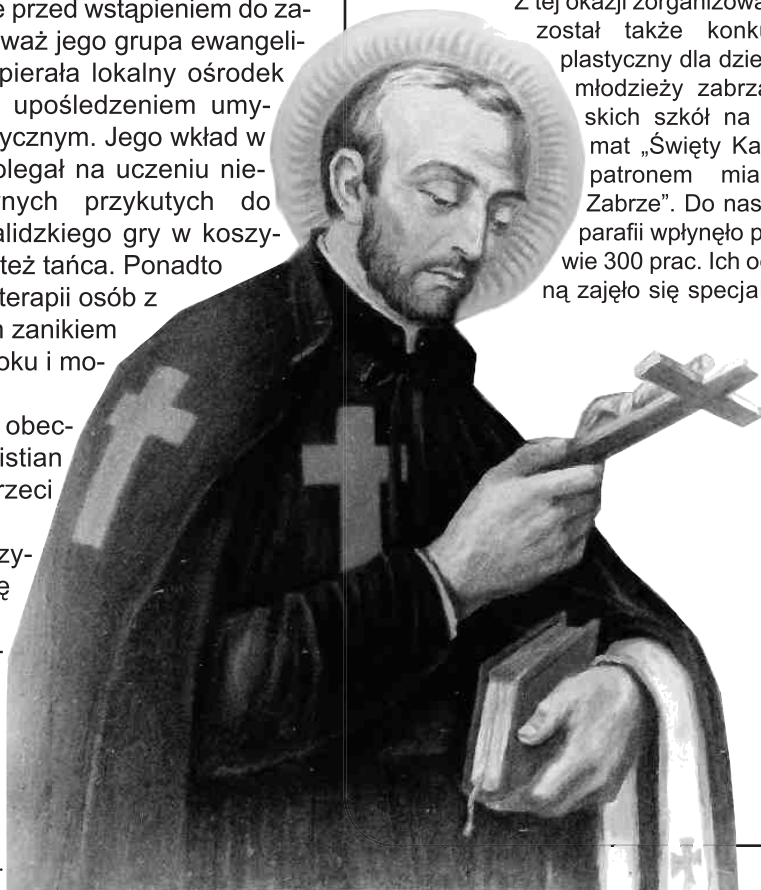
Ojciec Wojciech Węgliński przy pomocy pana Łukasza Pacha przygotował również specjalną wystawę umieszczoną w gablotach pod chórem naszego kościoła przedstawiającą m. in. biografię świętego Kamila, historię naszego Zakonu, mapkę i zdjęcia przedstawiające rozlokowanie oraz posługę kamilianów w Polsce i na misjach, dokumentację związaną z ustanowieniem św. Kamila patronem miasta Zabrze, a także pamiątkowe zdjęcia z różnych uroczystości, jakie przez te 15 lat miały miejsce w naszej parafii. Nie zabrakło tam też pamiątkowych zdjęć związanych ze sprowadzeniem do Zabrze serca św. Kamila.

Centralnym punktem uroczystości była Msza św. pod przewodnictwem ks. bp. Gerarda Kusza, która odbyła się 2 października w naszym kościele. Na tej uroczystej eucharystii nie zabrakło także ojca Arkadiusza Nowaka prowincjała Zakonu Kleryków Regularnych Posługujących Chorym w Polsce, a także ojca Ireneusza Sajewicza wiceprowincjała i całej naszej Rady Prowincjalnej o. Huberta Bieńka, o. Mirosława Sz wajnocha i o. Wojciecha Węglińskiego. Obecnych było też wielu naszych współbraci i przedstawicieli duchowieństwa zabrzańskiego na czele z ks. infułatem Pawłem Pyrchalą i dziekanami ks. Józefem Doroszem i ks. Janem Matyskiem. W uroczystości wzięli udział prezydent miasta Zabrze - Małgorzata Mańka-Szulik wraz z wiceprezydentami oraz posłowie na Sejm RP - Tadeusz Wita i Mirosław Sekuła. Nie zabrakło też licznych pocztów sztandarowych m.in. Górnolazaków, Straży Miejskiej, Górników, szkół które znajdują się na terenie naszej parafii, Harcerzy, Żywego Różańca, Dzieci Maryi, Bractwa Matki Bożej Uzdrawienie Chorych i pocztu kilku innych parafii zabrzańskich, a przede wszystkim rzeszy wiernych naszego miasta. Liturgię Słowa oraz Modlitwę Powszechną przygotowała Wspólnota Domowego Kościoła naszej parafii. Homilie wygłosił ks. bp Gerard Kusz. Oprawę muzyczną przygotował i wykonał chór „Resonans con tutti”, a dekorację w kościele wykonał niezastąpiony brat kamilianin Franciszek Wiczorek.

Finałem uroczystych obchodów z okazji 15. rocznicy ustanowienia św. Kamila patronem miasta Zabrze był koncert w Filharmonii Zabrzeńskiej w wykonaniu orkiestry Symfonicznej Filharmonii Zabrzeńskiej pod dyktando Sławomira Chrzanowskiego, który odbył się 19 października o godzinie 18. ■

o. Jacek Burdzy

Św. Kamil
z obrazu
w prezbiterium
kościoła z Zabrze.





Małgorzata Foryt

Życie jak pudełko czekoladek

Życie jest jak pudełko czekoladek, nigdy nie wiemy, co może się przytrafić. Jest nieprzewidywalną podróżą i to od nas w dużej mierze zależy, jak chcemy ją przeżyć oraz co chcemy osiągnąć. Najważniejsze to zrozumieć samego siebie, i to, w jaki sposób możemy pomóc drugiemu człowiekowi, któremu w odróżnieniu do nas nie powiodło się, gdyż dotknięty niepełnosprawnością żyje w kraju biednym, szarpanym konfliktami i wojnami.

Pomysł niesienia pomocy poszkodowanym przez los po raz pierwszy narodził się, gdy usłyszałam o organizacji „Lekarze bez Granic”, która w 1999 roku otrzymała Pokojową Nagrodę Nobla. Wiedziałam, że nie będę lekarzem, interesowała mnie jednak medycyna: pielęgniarstwo, a następnie fizjoterapia, i to było to!!! Pod koniec studiów, przeżona wizją szukania pracy w szpitalach lub gabinetach rehabilitacyjnych, przypadkiem trafiłam na wywiad z Chrisem Brasherem, lekarzem pracującym 10 lat w organizacji „Lekarze bez Granic” w różnych, bardzo niebezpiecznych częściach świata. Zainspirowana jego przykładem napisałam do kilku polskich organizacji w sprawie wolontariatu. Po kilku miesiącach dostałam odpowiedź z Polskiej Misji Medycznej o możliwości wyjazdu do Gruzji do pracy w ośrodku dla niepełnosprawnych prowadzonym przez Zakon Posługujących Chorym potocznie nazywanym Kamilianie. Bez wahania odpowiedziałam na to wyzwanie, pomimo braku zrozumienia ze strony rodziny czy przyjaciół. Wiedziałam, że to początek fascynującej przygody w moim życiu, która zmieni mnie na zawsze. Nigdy jednak nie spodziewałam się, że to właśnie Gruzja tak mnie pochłonie i że oddam jej tyle czasu. W Gruzji poznałam wielu wspaniałych ludzi, którzy pomogli mi przystosować się do nowego miejsca i uwierzyć, że dam sobie radę.

Jako wolontariuszka MSZ wraz z Kasią Krzempek zaczynałyśmy pracę w małej salce Domu św. Kamila, wyposażonej w 2 materace i kilka podstawowych sprzętów rehabilitacyjnych. Dziś w Poliklinice „Redemptor Hominis” mamy do dyspozycji 3 sale w pełni wyposażone w nowoczesny sprzęt rehabilitacyjny zakupiony dzięki pomocy Ambasady Polskiej w Tbilisi.

Obecnie, oczekując na ukończenie prac budowlanych nowego Centrum Rehabilitacji odpowiadającego na potrzeby osób niepełnosprawnych w Gruzji, we współpracy z Polską Misją Medyczną i dofinansowaniu MSZ RP, szkolimy miejscowy personel fizjoterapeutyczny.

Otwierając pudełko czekoladek, nie wiemy, jakie smakowe niespodzianki ono kryje. Moje doświadczenie pracy w Gruzji ubogacając i urozmaicając ludzi, którym chciałabym podziękować:



Katarzynie Krzempek za intensywną naukę; Monice Wywrockiej, która podobnie jak ja, wyruszyła w fascynującą podróż, aby odkryć nowy, pasjonujący świat codzienności życia niepełnosprawnych Gruzinów; Ministerstwu Spraw Zagranicznych oraz Ambasadzie Polskiej w Tbilisi, za zaufanie i wsparcie dzieła prowadzonego przez Zakon Kamilianów oraz Wszystkim, którzy pomagają nam w spełnieniu marzeń. Marzeń o tym, aby osoby niepełnosprawne już od najmłodszych lat miały ułatwiony dostęp do rehabilitacji i uwolnione z niewoli niepełnosprawności mogły śmiało patrzeć w przyszłość.

Przed nami jeszcze długa droga, choć trudno ukryć, że wspólnymi siłami wiele udało się już dokonać. Pomyślcie także i Wy, w jaki sposób chcecie urozmaicić Waszą przyszłość i co moglibyście zrobić dla innych. ■

Wolontariat w Gruzji - co? jak? i dlaczego?

W moim przypadku sam pomysł wolontariatu narodził się bardzo niespodziewanie, tylko i wyłącznie dzięki Gosi, która przetrwała dla mnie ten szlak oraz poinstruowała, co należy zrobić, aby móc przyjechać do Gruzji. Stąd kilka słów ode mnie dla tych, którzy szukają, dla tych, którzy chcą coś zmienić w swoim życiu!

Teraz w telegraficznym skrócie: wolontariat - czym to się je!?!

Dla kogo:

Dla osób z wykształceniem medycznym w kierunku: fizjoterapia, chcących pracować i usprawniać system rehabilitacji w Gruzji, któremu daleko jeszcze do tego, jaki mamy obecnie w Polsce (choć z każdym dniem coraz bliżej ;)

Gdzie:

W stolicy Gruzji - Tbilisi, dzielnica Temka, w klinice prowadzonej przez zakon Ojców Kamilianów. Aktualnie pracujemy w przychodni, w której mamy do dyspo-

zycji trzy salki do kinezyterapii i jedną do fizykoterapii oraz wszelkie potrzebne nam sprzęty. W niedalekiej przyszłości przenosimy się do nowo wybudowanego centrum, gdzie do dyspozycji będzie jedno piętro przeznaczone do fizjoterapii.

Dzięki komu:

Po pierwsze sprawca całego zamieszania - MSZ Rzeczypospolitej Polskiej, który finansuje całe przedsięwzięcie, po drugie PMM z siedzibą w Krakowie, która występuje w roli organizacji wysyłającej wolontariusza, a po trzecie zakon Ojców Kamilianów, pełniący rolę organizacji przyjmującej. Brzmi wyszukanie, ale uwierzcie mi - wszystkie formalności są jak najbardziej do przejścia.

Korzyści:

Możliwość pracy w klinice, co wiąże się ze zdobyciem doświadczenia zawodowego w innych niż zwykle warunkach. Poprzez pracę wolontarystyczną przyczyniamy się do rozwoju gruzińskiej fizjoterapii oraz po ludzku - pomagamy tym, którzy tego potrzebują: niepełnosprawnym dzieciom i dorosłym, którzy potrzebują rehabilitacji.

Poza tym: możliwość poznania Gruzji, która jest krajem niezwykle egzotycznym ze wspaniałą kulturą, ciepłymi i otwartymi ludźmi, ciekawymi tradycjami oraz miejscami, które po prostu trzeba odwiedzić!

Wady:

Poza odrobiną tęsknoty - nie znalazłam!

Monika Wywrocka

info@kamilianie-gruzja.com

**Jeśli jesteś
zainteresowany(a)
pracą wolontariacką
w Gruzji
skontaktuj się
z nami!**



Foto: Archiwum OPIU w Zabrzu

Rozmowa z Małgorzatą Kowalcze

Ta przeklęta butelka

Małgorzata Kowalcze jest specjalistą psychologii klinicznej, certyfikowanym specjalistą terapii uzależnień oraz psycho-terapeutą i superwizorem Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego. Od 12 lat kieruje Ośrodkiem Profilaktyki i Leczenia Uzależnień w Zabrzu.

Według danych światowej organizacji zdrowia Polska znajduje się w grupie krajów o najwyższym spożyciu czystego alkoholu na dorosłego mieszkańca, przekraczając o ponad 100% średnią światową (średnia światowa 6,13 litrów, Polska – 13,3 litrów). Czy to znaczy, że żyjemy w społeczeństwie alkoholików i pijaków?

Nie uważam, że żyjemy w społeczeństwie alkoholików i pijaków. Żyjemy w

społeczeństwie, w którym ludzie zmagają się z trudami życia codziennego i poszukują różnych sposobów rozwiązania własnych kłopotów. Tak się niestety dzieje, że często wybierają te najbardziej destrukttywne. Poza tym jest to problem globalny znany nie tylko w Polsce, ale także w każdym innym kraju.

W naszym społeczeństwie można zaobserwować, że coraz więcej

osób spotyka się przy piwie. Tu i ówdzie można usłyszeć o mniejszej szkodliwości tego napoju w porównaniu do takich trunków jak wódka, whisky czy koniak. Czy to prawda, że pijąc tylko piwo człowiek nie wpadnie w nałóg alkoholowy? A może trzeba wypić go o wiele litrów więcej niż mocniejszych trunków zanim to się stanie?

Alkohol jest alkoholem niezależnie od tego, czy mówimy o piwie czy napojach wysokoprocentowych. Rzeczywiście piwa trzeba wypić więcej, żeby się nim upić. Natomiast podobnie jak z pozostałymi alkoholami również piwo rozładowuje napięcie emocjonalne i staje się pretekstem do ucieczki od codziennych problemów, często w atrakcyjniejszy świat kolegów. Ludzie niby niewinnie biesiadują, a jednak wlewają w siebie alkohol, a to może stać się zwyczajem prowadzącym do rozwoju uzależnienia. I nie jest to bezpodstawne stwierdzenie, gdyż wśród moich pacjentów jest liczna grupa osób uzależnionych, która twierdzi, że pije wyłącznie piwo.

Przyglądając się życiu bohaterów niektórych telewizyjnych seriali można zauważyć, że czymś zupełnie naturalnym staje się codzienna lampka wina lub koniaku po trudach całego dnia. Można nawet odnieść wrażenie, że osoby te nigdy się nie upijają, a mimo wszystko nie potrafią zmienić swojego upodobania. Stąd pojawiają się pytanie czy to nawyk czy może już nałóg? Czy alkoholik to tylko ten, kto regularnie upija się do nieprzytomności? I wreszcie czy można stać się alkoholikiem nie będąc ani razu w życiu pijanym?

Alkoholik to nie ten człowiek, który upija się do nieprzytomności. Alkoholik to człowiek, dla którego alkohol nie jest już dodatkiem do życia, ale staje się podstawą codziennego funkcjonowania. Poza tym bywają różne typy uzależnienia od alkoholu. Są alkoholicy, którzy piją tak zwanymi ciągami po kilka lub kilkanaście dni z rzędu, a w międzyczasie mają okresy abstynencji. Jest też grupa alkoholików pijących systematycznie przez cały dzień małe dawki alkoholu tzw. „podlewanie się”, co często jest też określane piciem menadżerskim. Trudno zatem jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, czy

ktoś sięgający regularnie od wielu lat po wieczornego drinka jest już osobą uzależnioną. Jeżeli jest to naprawdę jeden drink; jeżeli nie odczuwa przymusu picia dalej; jeżeli ma też wieczory, kiedy drinka nie ma i nic właściwie z tego powodu się nie dzieje, to trudno, aby takiego człowieka diagnozować jako osobę uzależnioną. Osoba uzależniona to ta, która nie potrafi przerwać picia w dowolnie wybranym momencie, czyli w tym przypadku nie potrafi skończyć na jednym drinku i jej myśli są silnie skoncentrowane wokół alkoholu. Jeżeli taki człowiek zauważa, że jeden drink już nie wystarcza albo zaczyna te drinki robić coraz mocniejsze, wtedy jest to niepokojące i staje się sygnałem, że organizm domaga się alkoholu w coraz to większych dawkach, gdyż zmieniła się jego dotychczasowa tolerancja na alkohol. Kiedy alkohol staje się już źródłem narastających problemów i prowadzi do zaniku innych zainteresowań, to z pewnością mamy do czynienia z jednym z objawów uzależnienia.

Wiele osób gustujących w mocnych trunkach odsuwa od siebie myśl, że może popaść w alkoholizm. Często słyszy się zapewnienie, że wszystko jest pod kontrolą i co najwyżej bywają pijakami a nie alkoholikami. Czy można zatem wyznaczyć jakąś granicę określającą jednoznacznie stopień uzależnienia? A może inaczej. Co musi się wydarzyć, aby zacząć się martwić tak na poważnie?

Człowiekowi często wydaje się, że ma wszystko pod kontrolą. A alkohol jest właśnie takim przykładem, który potrafi nam udowodnić, że nie jesteśmy w stanie nad nim panować. Należy zacząć się martwić, kiedy staje się on codziennym towarzyszem i próbując z niego zrezygnować, nie potrafimy tego dokonać. Martwić trzeba się również wtedy, kiedy człowiek postanawia wypić tylko jeden kieliszek i na tym skończyć, a jednak mu się to nie udaje. Ważne, żeby sobie zawsze uczciwie odpowiedzieć na dwa pytania. Najpierw czy potrafię przerwać picie w dowolnym momencie, a następnie czy odstawiając alkohol potrafię dalej

normalnie żyć i spokojnie funkcjonować wykonując różne inne czynności. Jeżeli po odstawieniu alkoholu pojawia się niepokój i ciągłe myślenie o alkoholu; jeżeli człowiek staje się bardziej nerwowy i rozdrażniony i wszystko mu przeszkadza, choć nie jest to związane z andropauzą czy klimakterium czy też innymi przyczynami, to albo jest na drodze do uzależnienia, albo już jest uzależniony.

Obserwując przez dłuższy czas życie rodzin ze środowisk patologicznych odnosi się wrażenie, że dominujący tam problem alkoholowy cyklicznie się powtarza. Pojawia się zatem pytanie o możliwość genetycznego obciążenia chorobą alkoholową. Czy dziecko alkoholików jest naprawdę mniej odporne i szybciej popada w nałóg?

Nie powiedziałabym, że dzieci alkoholików są mniej odporne i szybciej popadają w nałóg. Mogą dziedziczyć pew-



MODLITWA ALKOHOLIKA

Ojcze Niebieski, jestem chory. Dałeś mi życie i zdrowie, ale przez nadużywanie alkoholu zniszczyłem Twoje dary i straciłem swoją wolność. Dużo ludzi cierpi przeze mnie, a inni dają mi odczuć, że nie jestem w porządku. Chciałbym być zdrowy, ale każde nowe postanowienie daje mi doświadczenie mojej słabości i niemocy. Wiem, że potrzebuję leczenia, a jednak boję się jego wymagań. Dużo ludzi mną pogardza i tak samo boli obojętność innych. Nie widzę ratunku, jeżeli Ty mi nie pomożesz.

Duchu Święty, wypełnij moje serce, abym był pokorny. Własnymi siłami nie mogę się leczyć. Potrzebuję pomocy innych, potrzebuję prawdy, wspólnoty i wytrwałości, potrzebuję nowej radości życia i wiary, która jest Twoim darem. Umacniaj mnie we wszystkich pokusach i kryzysach i pomóż mi pomagać innym, którzy również walczą o prawdziwe życie.

Maryjo, Nadziejo pokutujących i Matko Dobrej Rady, bądź zawsze blisko nas! Amen.

ne predyspozycje, ale to jeszcze nie znaczy, że dziecko wychowane w rodzinie alkoholowej będzie alkoholiczkiem. Mówi się o czterech czynnikach sprzyjających uzależnieniu. Są to czynniki biologiczne, czyli genetyczne; psychiczne, rozumiane jako predyspozycje osobowościowe; wychowawcze – związane ze środowiskiem życia i wreszcie duchowe, określające hierarchię wartości ważnych dla człowieka. Mówiąc o większym narażeniu dzieci z rodzin alkoholików musimy wskazać nie tyle na predyspozycje genetyczne, ile raczej na modelowanie ich zachowań poprzez dorastanie w rodzinie dysfunkcyjnej.

Jeszcze dwa wieki temu uważano, że alkohol jest skutecznym antidotum na szerzące się zarazy i uodparnia organizm na różne infekcje. Ale i dzisiaj spotyka się opinie, że czysta wódka pomaga uniknąć problemów żołądkowych podczas egzotycznych wypraw i w miarę szybko rozładowuje stres. Ile w tym prawdy, a na ile może to być już ryzykownie niebezpieczne?

Odpowiem jednoznacznie: alkohol nie jest skutecznym lekarstwem! Faktem jest, że ludzie jadąc do Egiptu zabierają ze sobą wódkę, by w ten sposób radzić sobie z „kłątwą faraona”. Jednak ta przysłowiowa klątwa może szybko zmienić się w zatrucie alkoholowe, zwłaszcza w tamtejszym klimacie. Dla mnie alkohol nie jest żadnym lekiem, a już na pewno nie przy problemach żołądkowych. Wręcz przeciwnie, jego nadużywanie może prowadzić do wrzodów żołądka i dwunastnicy oraz wielu innych poważnych schorzeń.

A co do rozładowania stresu, to uważam, że najlepszym sposobem jest spędzenie czasu w miłym towarzystwie, pójście do kina lub na koncert, rozmowa z przyjacielem, ciekawa książka czy chociażby delektowanie się dobrą herbatą. Ciągłe aktualna pozostaje również metoda Scarlett O'Hary – bohaterki powieści „Przemiętło z wiatrem”, która zwykła mawiać w takich momentach: „przespać do jutra”. A jeżeli ktoś przekornie odpowie, że nie potrafi zasnąć, to zawsze może jeszcze pobiegać.

Jako duszpasterz często spotykam się z rodzinami osób dotkniętych

problemem alkoholowym. Niejedna zrozpaczona matka, żona czy córka zadają dramatyczne pytania: „co robić?”, „w jaki sposób mu pomóc?”, „jak dalej żyć?”. Co mogłaby im pani poradzić?

Z całą pewnością nie należy wierzyć w obietnice osoby uzależnionej. Poza tym trzeba być konsekwentnym w swoim działaniu. Nie można straszyć tym, czego nie będę w stanie później zrobić. Bardzo często takim szantażem jest straszenie rozwodem, do którego z różnych powodów – ekonomicznych, mieszkaniowych, uwikłań emocjonalnych czy troski o wspólne potomstwo – nie jest się jeszcze gotowym. Jeżeli alkoholikowi coś mówimy, to musimy to uczynić.

Następnie ważną zasadą jest to, aby nie kupować mu alkoholu i nie załatwiać za niego różnych spraw. Alkoholik musi przestać być w centrum naszego zainteresowania. Mówiąc krótko – musi zacząć ponosić konsekwencje swojego picia. Byłoby nawet wskazane, gdyby rodzina pomogła mu troszkę pocierpieć, bo jeżeli nie cierpi z powodu picia, to analogicznie do innych chorób, nie znajduje powodów do rozpoczęcia leczenia.

Najważniejsze jest jednak to, aby dotarło do nas, że nie poradzimy sobie z tym problemem sami. Trzeba przekroczyć mentalną barierę, że nie wypada nikomu z zewnątrz opowiadać o problemach we własnej rodzinie i skorzystać z profesjonalnej pomocy terapeutycznej. Najbliżsi osoby uzależnionej powinni skontaktować się z poradnią terapii uzależnień i porozmawiać z terapeutą, jak dalej postępować w konkretnym przypadku. Naprawdę warto skorzystać z pomocy innych, chociażby grup edukacyjnych i terapeutycznych, na których można przypatrzeć się, w jaki sposób inne osoby z rodzin alkoholików radzą sobie z tym problemem. Często zasłaniamy się poczuciem wstydu. Nawiązując do przepięknej książki Antoine de Saint-Exupéry „Mały książę” można powiedzieć, że „wstydem jest pijaństwo, a nie chęć szukania pomocy, by z niego się wyzwolić”.

Nie lękajmy się ośrodków, w których czeka na nas profesjonalna pomoc. Właściwie w większości miast znajdują się poradnie terapii uzależnień. Ponadto przy każdym urzędzie gminy,

Następną planetę zajmował Pijak. Te odwiedziny trwały bardzo krótko, pogrążyły jednak Małego Księcia w głębokim smutku.

- Co ty tu robisz? - spytał Pijaka, którego zastał siedzącego w milczeniu przed baterią butelek pełnych i baterią butelek pustych.
- Piję - odpowiedział ponuro Pijak.
- Dlaczego pijesz? - spytał Mały Książę.
- Aby zapomnieć - odpowiedział Pijak.
- O czym zapomnieć? - zaniepokoił się Mały Książę, który już zaczął mu współczuć.
- Aby zapomnieć, że się wstydzę - stwierdził Pijak, schylając głowę.
- Czego się wstydzisz? - dopytywał się Mały Książę, chcąc mu pomóc.
- Wstydzę się, że piję - zakończył Pijak rozmowę i pogrążył się w milczeniu.

Mały Książę zakłopotany ruszył dalej.

„Dorośli są naprawdę bardzo, bardzo śmieszni” - mówił sobie po drodze.

Antoine de Saint-Exupéry, Mały Książę



nawet wiejskim, funkcjonują gminne komisje rozwiązywania problemów alkoholowych. Po poradę można więc udać się w miejscu swojego zamieszkania, w dostępnych punktach konsultacyjnych. Istotne jest jednak to, żeby w końcu zdobyć się na ten pierwszy krok i pozwolić sobie pomóc.

Przeprowadzono ponoć badania, które udowodniły naukowo, że picie niewielkich ilości alkoholu wpływa ochronnie na gospodarkę tłuszczową organizmu i opóźnia proces miażdżycowy. Mówiąc krótko, alkohol chroni serce i zapobiega chorobie wieńcowej oraz zawałom serca. Z drugiej strony słyszy się, że spożywanie piwa leczy nerki podczas kamicy. Czy może zatem nie warto propagować trzeźwego stylu życia, który zdaje się odbiegać od profilaktyki prozdrowotnej?

Jak najbardziej, trzeba propagować trzeźwy styl życia. Alkohol z pewnością nie chroni serca ani nie leczy nerek. To mit. Wykorzystywanie alkoholu do rzekomych celów leczniczych jest raczej pretekstem do usprawiedliwiania picia. Pamiętam pacjenta, który tłumaczył, że pije piwo, aby leczyć nerki. Zapytany o to, czy cierpi na kamice, odpowiedział beztrząsco, że właśnie dlatego pije, by do niej nie dopuścić. Myślę, że w pozostałych przypadkach alkohol bardziej działa na psychikę niż faktycznie wspiera proces

leczenia, zwłaszcza kardiologicznego. Wiem, że sami lekarze zalecają niekiedy takie niekonwencjonalne metody. Ale ja nie jestem ich zwolenniczką. Wolałabym, żeby lekarze nakłaniali pacjentów do stosowania innych naturalnych środków, jak chociażby w przypadku kamicy – wody mineralnej „Jan”. Niebezpieczne jest to, że rzekoma kuracja może przekształcić się w systematyczne spożywanie alkoholu, które nie ma już żadnych medycznych uzasadnień.

Na czym polega terapia odwykowa i kto powinien się na nią zgłosić? Czego najbardziej obawiają się pacjenci? Czy istnieją przypadki tak beznadziejne, że nie da się im już pomóc?

Nie należy się bać miejsca, gdzie możemy skorzystać z fachowej pomocy. Do terapii może zgłosić się zarówno osoba uzależniona, jak i jej rodzina. Jeżeli na terapię zgłosi się najpierw rodzina, to jest wtedy przygotowywana do prowadzenia rozmów z osobą uzależnioną i poszukuje różnych sposobów radzenia sobie z tym problemem.

Prowadzona jest terapia indywidualna i grupowa. Istnieje leczenie ambulatoryjne w poradniach oraz stacjonarne w ośrodkach zamkniętych. Jeżeli ktoś po raz pierwszy rozpoczyna terapię, może ją realizować w warunkach ambulatoryjnych, nawet jest to wskazane. Jeżeli to nie przyniesie pożądanego efektu, można skorzystać z terapii w oddziałach dziennych. Ostatecznym krokiem jest leczenie w

stacjonarnym ośrodku. Terapia w oddziałach dziennych i stacjonarnych trwa 6-8 tygodni w ramach zwolnienia lekarskiego. Należy bezwzględnie podkreślić, że każdy kto ukończy terapię w oddziale dziennym czy też stacjonarnym, musi kontynuować terapię w poradni. Terapia osób uzależnionych jest długoterminowa, ale ostateczną decyzję o jej zakończeniu podejmuje pacjent.

Warto też dopowiedzieć, że w leczeniu uzależnień nie obowiązuje rejonizacja ani skierowanie od lekarza. Jest ono bezpłatne i co najważniejsze anonimowe z wręcz rygorystycznym przestrzeganiem ochrony danych osobowych. Ponadto pierwsza wizyta możliwa jest nawet w przypadku braku ubezpieczenia zdrowotnego.

W terapii uzależnień nie ma przypadków beznadziejnych. Każdemu można pomóc, jeśli tylko tego chce. Nawet jeżeli terapia kończy się niepowodzeniem, to także wtedy nie nazwałabym tego przypadkiem beznadziejnym, ale raczej przykładem człowieka, który postanowił żyć po swojemu, na złość samemu sobie.

Jaką radę miałaby pani dla naszych czytelników, aby mogli być spokojni, że nigdy nie dotknie ich problem alkoholowy.

Zwykłam odpowiadać, że każdy z nas może stać się alkoholikiem. Najgorsze co możemy zrobić to wmówić sobie, że problem alkoholowy nas nie dotyczy i nigdy nas nie dotknie. Uwierzymy, że nie jesteśmy w stanie przewidzieć, co może nas w życiu spotkać. Nie ma nic bardziej mylnego niż przeświadczenie, że nad wszystkim czuwać i z wszystkim sobie poradzę. Spotkałam już wielu takich ludzi, którzy świetnie sobie radzili, a pokonał ich alkohol. Człowiek jest naprawdę wielką tajemnicą i nikt tego nie wie, jak zareaguje na alkohol. Na koniec, żeby nie było tak smutno, to zachęcam, by alkohol w państwa życiu był jedynie dodatkiem i nigdy nie stał się najważniejszą wartością.

Bardzo dziękuję za rozmowę. Przy okazji życzę pani pacjentom radosnych i trzeźwych świąt w rodzinnym gronie.

Rozmawiał o. M. Szwajnoch





o. Mirosław Sz wajnoch

Szpitalne perypetie

W 1907 roku zakończono w Tarnowskich Górach budowę Lecznicy św. Jana Chrzciciela. Na mocy państwowego dekretu z 1906 r. działalność kamiliańska miała obejmować opiekę nad chorymi w zakładzie dla alkoholików oraz prowadzenie publicznych nabożeństw w przyzakładowej kaplicy. Okazuje się jednak, że zawirowania historii niejednokrotnie zmieniały oblicze zakonnej posługi.

Posługa szpitalna w Zakładzie św. Jana podzielona była na dwa obszary. Część zakonników zajmowała się bezpośrednio pacjentami, a do ich zadań należała obecność wśród podopiecznych, rozdzielanie i dozorowanie pracy, prowadzenie kartotek, udzielanie rad oraz wspólne spożywanie posiłków z kuracjuszami. Osobny dział dotyczył administracji i zarządzania domem.

Kuracja w tarnogórskiej lecnicy łączyła w sobie terapię medyczną i przystosowanie do życia społecznego. Za stan zdrowia pacjentów odpowiadał lekarz Karol Seifert, dostosowując środki terapeutyczne do poszczególnych osób oraz określając termin zakończenia kuracji. Równolegle do działań lekarskich, zakonnicy zajęli się resocjalizacją osób uzależnionych. Zwrócono przy tym uwagę na aspekt religijny, edukacyjny i zajęciowy pro-

cesu odwykowego. I tak wiara miała stanowić bodziec do uzyskania odpowiedniej motywacji, wiedza pomagała w poszerzeniu horyzontów myślowych, zaś praca przyzwyczajała do obowiązkowości i wysiłku.

Pobyтови w zakładzie nadano charakter chrześcijańskiego życia w rodzinie. Wszyscy pacjenci wyznania katolickiego zostali zobowiązani do uczestniczenia we wspólnych nabożeństwach. Codziennie rano celebrowano mszę świętą, zaś wieczorem odbywały się wspólne modlitwy. W celu podniesienia ogólnego poziomu wiedzy pacjentów, dwa razy w tygodniu, we wtorki i piątki, organizowano odczyty na tematy religijne lub dotyczące problematyki alkoholizmu. Celom dydaktycznym służyła także zakładowa biblioteka oraz indywidualne rozmowy z podopiecznymi. Z kolei własne gospodarstwo i odpowiednie

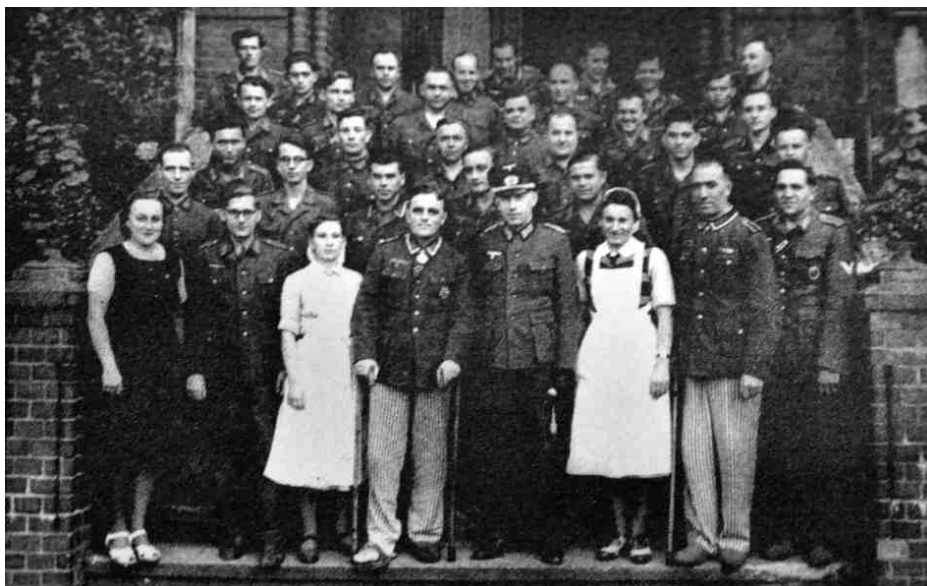
urządzenie szpitala umożliwiało realizowanie terapii poprzez pracę. Zajęcia fizyczne odbywały się codziennie, z wyjątkiem dni świątecznych. W godzinach przedpołudniowych praca trwała od godziny 7 do 12, z piętnastominutową przerwą na drugie śniadanie, natomiast popołudniu - od godziny 14 do 18, z uwzględnieniem półgodzinnej przerwy na podwieczorek. Chorzy pod fachowym nadzorem wykonywali prace związane z uprawą roślin i hodowlą zwierząt, jak również zatrudniani byli w zakładowych warsztatach.

W latach 1907-1909 liczba kuracjuszy zwiększyła się z 24 do 75 osób. W ciągu pierwszych trzech lat działalności, zakład przyjął 160 chorych, z których 41,57 procent zostało wyleczonych, stan 27,10 procent polepszył się i u 23,49 procent nie zaobserwowano poprawy. Wśród kuracjuszy znalazły się osoby zróżnicowane wiekowo, społecznie, zawodowo i wyznaniowo. 144 pacjentów pochodziło ze Śląska, 7 z Poznańskiego, 2 z Brandenburgii, 2 z Nadrenii, 2 z Saksonii, 2 z Austrii i 3 z Rosji. Czterech posiadało wykształcenie wyższe, 21 trudniło się handlem, 19 piastowało stanowiska urzędnicze, 36 było rzemieślnikami, 64 zatrudnionych w przemyśle, 14 w gospodarce rolnej, jeden był właścicielem kamienicy czynszowej i jeden bezrobotnym. Koszty leczenia pokrywane były głównie przez samych zainteresowanych, względnie ich rodziny, towarzystwa ubezpieczeniowe i zakłady pracy delegujące na kurację.

W pierwszych latach funkcjonowania Zakładu św. Jana pojawiły się również dwa zasadnicze problemy komplikujące działalność lecnicy. Powstałe trudności związane były przede wszystkim z koniecznością zabezpieczenia niezbędnej ilości zakonników do obsługi domu. W marcu 1910 r. prezydent rejencji opolskiej przypomniał prowincjałowi kamilianów, że wbrew wcześniejszym ustaleniom stan personalny osób zakonnych w domu św. Jana został przekroczony o jednego brata i jednego ojca, co wymagało odwołania ich jako osób przebywających nielegalnie na terenie klasztoru. Na domiar złego protestancki superintendent z Bytomia wniósł skargę do władz państwowych o rzekomą religijną agitację kamilianów względem chorych wyznania ewangelickiego. W związku z tym

20 grudnia 1910 r. zorganizowano spotkanie spółkowe, na którym omówiono szczegóły związane z przyjmowaniem do lecznicy alkoholików innego wyznania niż katolickie. Celem posiedzenia miało być rozstrzygnięcie powstałych wątpliwości, wynikających z interpretacji ministerialnych dokumentów z 20 maja 1905 r. i 20 lipca 1906 r., które zezwalały kamilianom opiekować się chorymi w lecznicy dla alkoholików katolickiego wyznania. Z dosłownej interpretacji tych rozporządzeń wynikało, iż zakład przeznaczony jest wyłącznie dla katolików. Do dnia 27 grudnia 1910 r., w kamiliańskim zakładzie znalazło się jednak 21 niekatolików. W celu uniknięcia dalszych nieporozumień, postanowiono skierować zapytanie do kompetentnej instancji rządowej o autentyczną interpretację ministerialnego zezwolenia i ewentualne jego rozszerzenie na możliwość przyjmowania chorych bez względu na wyznawaną religię. Sporna kwestia znalazła definitywne rozwiązanie w marcu 1912 r. Władze państwowe umożliwiły kamilianom przyjmować na kurację odwykową także niekatolickich alkoholików, pod warunkiem informowania o tym fakcie miejscowej gminy protestanckiej lub żydowskiej oraz umożliwieniu duchownym tych wyznań swobodnego dostępu do ich chorych.

Tak zorganizowana lecznica, prawie przez cały czas działalności kamilianów w Tarnowskich Górach - do momentu erygowania polskiej prowincji w



Podczas II wojny światowej budynek szpitala służył jako lazaret wojskowy dla niemieckich żołnierzy.

1946 roku, wypełniała zadania szpitala odwykowego dla alkoholików.

Z początkiem pierwszej wojny światowej większość pacjentów została powołana do służby wojskowej. W tym okresie kamilianie oddali część pomieszczeń lecznicy do dyspozycji władz wojskowych. W celu sprawowania opieki nad rannymi żołnierzami zostały odpowiednio zaadaptowane niektóre pomieszczenia. Pierwsze piętro w prawym skrzydle szpitala przeznaczono na jednoosobowe pokoje służące do kuracji oficerów, zażalenie chorych oraz na mieszkania dla sióstr i oficerów sanitarnych. Salę bilardową wykorzystano jako gabinet opatrunkowy i podręczną apteczkę,

zaś na wyższej kondygnacji wygospodarowano jedną dużą salę i cztery pokoje dla chorych żołnierzy oraz jeden pokój dla sanitariusza. Takie urządzenie lazaretu zostało zaaprobowane przez komisję lekarską i od 21 października 1914 r. rozpoczęła się formalna działalność szpitala wojskowego. Do końca 1914 r. statystyki wskazywały na przyjęcie 179 wojskowych pochodzących w większości z Prus i Saksonii. Ta stosunkowo znikoma liczba przyjęć wiązała się z decyzją komisji lekarskiej, która zamierzała zarezerwować kamiliańską lecznicę dla ewentualnych transportów z rannymi. W 1915 r. zwiększono liczbę pomieszczeń dla pielęgnowania rannych. Starania te nie wpłynęły jednak na zwiększenie stanu osobowego chorych. W grudniu 1915 r. w lazarecie przebywało zaledwie 25 wojskowych, z czego większość nie była związana z działaniami frontowymi, lecz rekrutowała się z miejscowego garnizonu i na skutek różnych chorób wymagała hospitalizacji.

Kolejną działalnością jaką podjęto w lecznicy było zorganizowanie w tamtejszych pomieszczeniach przytułku dla dzieci, osieroconych podczas działań wojennych. Dnia 25 czerwca 1917 r. na posiedzeniu członków spółki podjęto decyzję wynajmu zakładowych lokali Kurii Biskupiej we Wrocławiu. Na mocy podpisanej umowy, kamilianie, za roczną opłatę w wysokości 10000 Marek, odstąpili władzom diecezjalnym, do czasu zakończenia wojny,

W kamiliańskiej lecznicy nie zabrakło miejsca dla sióstr zakonnych.



część szpitalną Zakładu św. Jana. Uroczystego otwarcia sierocińca 1 września 1917 r. dokonał biskup Adolf Bertram. Posługą wśród dzieci zajęły się siostry Boromeuszki z Trzebnicy. Zgodnie z powziętymi postanowieniami działalność ta trwała do 1920 roku.

Po powrocie do pierwotnego przeznaczenia zakładu, kamilianie mieli poważne trudności ze znalezieniem pacjentów. Okazało się, że pogłębiający się w Europie kryzys ekonomiczny oraz związany z nim brak odpowiednich środków na przeprowadzenie leczenia odwykowego, udaremniły wszystkie zabiegi strony zakonnej, zmierzające do ożywienia działalności szpitalnej zakładu. W celu wykorzystania szpitalnych pomieszczeń, w lutym 1934 r. kamilianie wyrazili gotowość na przyjęcie osób upośledzonych umysłowo, skierowanych do zakonnego ośrodka przez Wojewodę Śląskiego z wojewódzkich zakładów psychiatrycznych w Lublińcu i Rybniku. Dnia 31 marca została zawarta odpowiednia umowa, na mocy której kamilianie zobowiązali się przyjąć do swojej lecznicy 80 chorych umysłowo pacjentów płci męskiej, bez względu na ich wiek i wyznanie. Ze względu na specyficzny charakter nowej działalności, w kwietniu 1934 r. dokonano pewnych zmian w urządzeniu szpitala, zaś w maju przewieziono pierwszych pacjentów.

Po rozpoczęciu drugiej wojny światowej w kamiliańskim zakładzie planowano

utworzyć szpital gruźliczy. 15 sierpnia 1940 roku naczelny lekarz okręgowy Rickmann, wraz z burmistrzem miasta, odwiedził pomieszczenia lecznicy i uznał je za odpowiednie do hospitalizacji zakaźnie chorych. Ustalono przy tym, że rozpoczęcie nowej działalności zakonnego ośrodka może nastąpić od 15 listopada.

Ze względu na prowadzone w tym samym czasie działania frontowe, kierownictwo zakładu otrzymało pismo od Untersturmführera SS, nakazujące oddanie szpitalnej części klasztoru tamtejszej Policji Państwowej. Tym samym plany zorganizowania szpitala gruźliczego nigdy nie zostały zrealizowane.

Dnia 28 czerwca 1943 roku katowickie kierownictwo Gestapo, na mocy rozporządzenia z 14 sierpnia 1942 r. skonfiskowało tarnogórski majątek zakonny. Minister Finansów Rzeszy, który w myśl dekretu konfiskacyjnego był właścicielem dóbr zakonnych, wyraził zgodę, aby z dniem 1 lutego 1944 roku kierownictwo nad lazaretem wojskowym na czas nieokreślony przejął zarząd VIII Oddziału Wojskowego we Wrocławiu.

Wraz zakończeniem wojny kamilianie ponownie podjęli próby zorganizowania w Tarnowskich Górach lecznicy dla alkoholików. Tym razem ich zamiary udaremniły władze komunistyczne, które w 1949 roku skonfiskowały i upaństwowiły zakonny szpital. ■

STYCZEŃ

17.01. - 20. rocznica śmierci
o. Bogdana Boksy

LUTY

02.02. - **WSPOMNIENIE NAWRÓCENIA
ŚWIĘTEGO KAMILA**

- 30. urodziny świętuje
o. Rafał Szamsza

11.02. - **OBCHODY ŚWIATOWEGO
DNIA CHORYCH**

12.02. - 20. rocznica śmierci
o. Józefa Boratyna

25.02. - 55 lat kończy
br. Zbigniew Antolik

MARZEC

08.03. - 60. urodziny świętuje
o. Zbigniew Musielak

18.03. - 10. rocznica śmierci
br. Pawła Schneidra

20.03. - 60. urodziny świętuje
o. Krystian Respondek



Zakon Posługujących Chorym OO. KAMILIANIE

Kuria Prowincjalna
ul. Bytomska 22 42-606 Tarnowskie Góry

tel. (32) 285 76 96 e-mail: kuria@kamilianie.eu

Bank Spółdzielczy w Tarnowskich Górach 46 8463 0005 2001 0019 2561 0002

Modlitwa przy wigilijnym stole

Na stole nakrytym białym obrusem kładziemy Pismo Święte i opłatek oraz ustawiamy świecę. Jedno miejsce przy stole pozostaje wolne jako znak pamięci o bliskich, którzy nie mogą razem z nami zasiąść do wigilii (np. o zmarłych z rodziny). Wieczernię wigilijną rozpoczynamy modlitwą. Najlepiej jeśli prowadzi ją ojciec.

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

ZAPALANIE ŚWIECY NA WIGILIJNYM STOLE:

Ojciec lub matka zapala świecę mówiąc: **Światło Chrystusa.**

Wszyscy odpowiadają: **Bogu niech będą dzięki.**

DZIECKO ZAPALA ŚWIATEŁKA NA CHOINCE.

CZYTANIE FRAGMENTU EWANGELII O NARODZENIU JEZUSA

Tekst Ewangelii odczytuje na przykład najstarsze dziecko:

Po wysłuchaniu fragmentu Ewangelii następuje śpiew kolędy „Bóg się rodzi”.

WPÓLNA MODLITWA:

Modlitwę odmawia ojciec lub matka

Udziel naszej rodzinie daru miłości, zgody i pokoju. Ciebie prosimy,
wszyscy odpowiadają: **wysłuchaj nas Panie.**

Obdarz naszych sąsiadów, przyjaciół i znajomych pokojem tej nocy. Ciebie prosimy...

Wszystkich opuszczonych, samotnych, chorych, biednych, głodnych na całym świecie pociesz i umocnij Dobrą Nowiną tej świętej nocy. Ciebie prosimy...

Naszych zmarłych (wymienić imiona) obdarz szczęściem i światłem Twej chwały. Ciebie prosimy....

Wszyscy odmawiają „**OJCZE NASZ**”.

ŁAMANIE SIĘ OPLĄTKIEM

Ojciec lub matka: **A teraz w duchu miłości i przebaczenia przełamiemy się opłatkami - chlebem miłości. Otwierając serca nasze w miłości wzajemnej, otwieramy je na przyjęcie Pana. Niech On będzie zawsze z nami.**

Ojciec pierwszy składa wszystkim życzenia i przełamuje się opłatkami.

MODLITWA PO WIECZERZY:

Dziękujemy Ci, Boże, nasz dobry Ojciec, za Syna Twego Jezusa Chrystusa, dziękujemy za miłość do wszystkich ludzi, za ten błogosławiony wieczór i dary, które spożywaliśmy. Tobie chwała na wieki. Amen.

*W nocy grzechu rozbłyśka betlejemska gwiazda.
Na blask idący od żłóbka pada cień krzyża. (...)
Droga Syna Bożego, który stał się człowiekiem,
wiedzie przez cierpienie i śmierć do chwały.
I dla każdego z nas, dla całej ludzkości istnieje
jedna droga: iść za Nim.*

Edyta Stein



Fragment obrazu Bartolomeo Schedoniego, Święta rodzina z Janem Chrzycielem

Redaktor wydania
o. Mirosław Sz wajnoch MI

Współpraca
o. Arkadiusz Nowak MI

Opracowanie graficzne i skład
o. Mirosław Sz wajnoch MI



Adres redakcji
Dom Prowincjalny
oo. Kamilianów
ul. Bytomska 22
42-606 Tarnowskie Góry

Telefon: (32) 285 76 96
e-mail: redakcja@kamilianie.eu

www.kamilianie.eu